

Odwiedziny w grobie.

Opowiadanie

Gdyby człowiek wiedział, jak przyjemnem jest zejście ze świata, oczekiwałby go pewnie bez trwogi i bojaźni.

Beardsley.

Powróciwszy po długiej nieobecności do miasta rodzinnego, zastałem mego najlepszego przyjaciela, przy łożu swej chorej małżonki.

Przywitał mnie dość zimno, nie dowiadując się wcale o moje powodzenie w obczyźnie i o cel mego przybycia.

Drugiego dnia przyszedłem znowu.

— Jak tam żonie?

— Gorzej, gorzej — lada chwila skończy, a ja ją tak kocham!

— Bóg dopomóż!

— Błaha to pociecha.

— A cóż lekarz mówi?

— Lekarz już nic nie mówi.

— Nie martw się, mój drogi, miej nadzieję.

— Nie mam jej, nie mam — moja Frania umrze — a ja ją tak kocham!

Zalał się łzami biedny mój przyjaciel.

— Nie płacz Albinie.

— Nie płakać? Za tą perłą, za tym aniołem nie płakać?... Nie znałeś jej, nie wiesz, co to za żona była. Ona mnie zawsze pocieszała w długim pożyciu naszym, ona trudy i znoje ze mną ochoczo dzieliła, przykrości życia spokojnie znosiła, a nawet i niedostatek ze mną cierpiała — a teraz, gdy nam się lepiej powodzi, mam ją utracić na zawsze!... I nie płakać za nią, nie płakać?

— Bóg łaskaw Albinie.

— Ale nie dla mnie.

— Zobaczysz.

— Nic nie zobaczę — trumnę chyba i księdza... Ach, jak ja ją kocham!...

Smutek opanował mą duszę. Nazajutrz z rana udałem się do Albina.

— Co robi pani? — zapytałem służącą.

— Co ma robić? Nic nie robi — już umarła. Daj jej tam Boże niebo!

— A pan, pan?

— Pan w pokoju koło pani.

Wszedłem do pokoju. Obok łoża śmiertelnego leżał Albin na podłodze, jakby także martwy. W sąsiednim pokoju odzywało się stłumione łkanie osieroconych dzieci.

Stałem długo w środku pokoju, patrząc to na zmarłą, której twarz przykryta była białą chustką, to na biednego Albina. Nareszcie przybliżyłem się i schwyciłem go za ramię.

— Albinie!

— Kto mnie woła?... Ach, to nie ona — nie ona!

— Ja ciebie wołam.

— Czego żadasz, przyjacielu?

— Żadam i proszę, abyś wstał.

Powstał za moją pomocą, podniósł do góry ręce, które jakiś czas w powietrzu konwulsyjnie drżały i ściągnął bardzo ostrożnie chustkę z twarzy zmarłej kobiety.

Całował czoło, całował oczy i usta niezliczone razy, westchnął głęboko i przykrył znowu ciało z największą ostrożnością. Straszna burza żalu szamotała mu serce.

Zaprowadziłem go przymusem do drugiego pokoju, do dzieci, aby we łzach wyłżał ten ból okropny, który mu kamieniem serce przygniatał.

Łzy koją cierpienia. Płakał, płakały dzieci, płakałem i ja.

Przyszli niebawem krewni, zajęli się pogrzebem.

Czas upływał. Kapłan pobłogosławił ciało — wynieśli trumnę.

Albin nie był już podobny do człowieka żyjącego, ale szedł chwiejnym krokiem, aż na cmentarz.

Trup za trupem...

Po pogrzebie krewni zabrali dzieci ze sobą.

Albin wrócił do domu i rzucił się na próżne łóżko swej zmarłej małżonki.

Drugiego dnia zastałem znowu służącą w kuchni.

— Pan jak się ma?

— Dziękuję, dobrze.

— A jadł co wczoraj?

— Nie, proszę pana. Już trzeci dzień do ust nic nie bierze, tylko wodę pije.

— Te bardzo źle.

— Pewnie że źle, ale ja myślę, że pan po za domem jeść musi.

— Alboż gdzie chodził?

— Chodził. Wyszedł wczoraj późno wieczorem i całą noc go nie było.

— Pewnie do dzieci poszedł.

— I to być może.

Albin leżał ubrany na łóżku swej żony.

— Jak się masz, Albinie drogi?

— Nie źle przyjacielu, lepiej jak wczoraj.

Spojrzałem na niego z zadziwieniem. Był zupełnie spokojny. Po jego twarzy przemknął promyk cichego zadowolenia.

— Bardzo mnie to cieszy — rzekłem.

— Trzeba zapomnieć — masz dzieci.

— Zapomnieć?... O mojej najdroższej Frani zapomnieć? Nigdy, przenigdy!... Zapomnieć można tylko o ludziach, których się nie widzi, a ja moją najukochańszą zeszłej nocy widziałem. Widziałem ją i rozmawiałem z nią.

— To być nie może!

— Tak jest. Opowiem ci wszystko. Słuchaj. Otóż udałem się w późnej godzinie na cmentarz. Brama była zamknięta. Przeskoczyłem przez parkan, znalazłem mimo czarnej ciemności z łatwością grób mej najmilszej i ukląknąłem na świeżej, jeszcze miękkiej mogile. Franiu! — zawołałem. — Albinie! odezwał się głos z pod ziemi. Czekałem cię, wiedziałam, że przyjdiesz. Pójdź tu do mnie!... I mogiła poruszała się ze mną zapadać, dążyłem powoli na dół i stanąłem po kilku chwilach w grobie. Nie był to atoli właściwy grób, lecz raczej przedsionek. Zastałem tu moją Franię w tej samej białej szacie, w której ją pochowano. Rzuciła się w moje objęcie, pocałowała mnie — nie jestem w stanie wypowiedzieć, jak słodkim był ten całus!... Dziś — rzekła — nie mogę cię w moim grobie przyjąć, bo jeszcze zupełnie nie urządzony — ale jutro zobaczysz moje nowe mieszkanko. Opuść mnie teraz, bo nie mam czasu. Do zobaczenia się jutro!... Pocałowała mnie żegnając jeszcze słodziej i znalazłem się w okamgnieniu znowu na mogile.

Drugiego dnia rozповідаł Albin dalej swoje przygody cmentarne:

— My nazywamy grobem dół wykopany w ziemi, w tejże sześć desek i cztery deszczulek, a w nich ciało martwe. Rzecz ma się inaczej. Grób mojej Frani jest sypialnią, wspaniale urządzoną — znajdziesz

tam wszystkie wygodę, znajdziesz czego dusza zapagnie... W takim grobie czas miło ulatuje istnienie w takim grobie nigdy sprzykrzyć się nie może. Usiadłem obok niej, rozmawialiśmy, żartowaliśmy, cieszyliśmy się sobą wzajemnie. Opowiedziałem jej, co na górze się dzieje. Ja to wszystko wiem — rzekła — ale wy zaiste nie wiecie, co u nas się dzieje, a przede wszystkim zupełnie wam nie wiadomo, co to jest śmierć, co to znaczy umierać i jak się umiera... Nie ma na ziemi godziny szczęścia, którą byśmy później nie odpłacili gorącymi łzami i najprzykrzejszym uczuciem bólesci. Na świecie źle się wie dzie, na świecie najmądrzejszy, najsprawiedliwszy i najzamożniejszy cierpieć musi — a wszystkie te cierpienia, wszystkie dolegliwości, wynagradza nam sówicie ostatnia chwila życia — tak zwana śmierć.

Jest ona najwyższem szczęściem i błogostą, wesoł i ochoczo rozstaje się człowiek z nędznym światem. Śmierć jest albowiem tajemniczym, dalszym ciągiem istnienia, a grób kolebką nowego życia... Opowiadała mi moja Frania jeszcze wiele, wiele o śmierci, ale wyszedłszy na świat, większą część zapomniałem i to tylko utkwiło w mej pamięci.

* * *

Trzeciego dnia prawił Albin dalej:

— Nie masz pojęcia, mój kochany, jak tam przyjemnie, jak tam miło w tym grobie. Nie ma tam słońca, nie ma światła żadnego, a jasno w każdym zakątku. Jasno i ciepło, to raj prawdziwy!... A moja Frania wygląda, jak róża, hoża, zdrowa, wesoła, zadowolona — i tylko mnie jej brakuje — maie! Sama mi to powiedziała i zapytała, czybym sobie życzył u niej pozostać. Dziwne to pytanie! Ja czy bym sobie tego życzył?... Ja, co ją tak niezmierzanie kocham, którego życie jest bez niej męczarnią, który tej męczarni długo nie wytrzyma — czy bym sobie tego życzył. Odpowiedziałem, że to jest jedynem życzeniem, jedynem pragnieniem mojej duszy — a ona zarumieniła się i klasnęła w ręce z radości. Jutro się od niej dowiem, czy władza kierująca, moim życzeniom zadość uczynić raczy.

* * *

Czwartego dnia znowu odwiedziłem Albina. Leżał w łóżku i spał, ale wkrótce się obudził.

— Pozwolenia jeszcze nie ma — rzekł — ale z pewnością nadejdzie. Godzina moja nie wybiła. Człowiek jest zawisty od czasu, od godziny, od minuty, która w księdze przeznaczenia zapisaną została. Godzina ta wkrótce wybije, wybić musi, musi! A Frania moja najdroższa, jak ona się cierzy na moje stałe przybycie!... Już ją nigdy więcej nie opuszczę — pozostaniemy w wspólnym grobie na wieki. A będziemy się kochać, kochać — jak niegdyś, gdy w sercach naszych miłość się obudziła — gdy ona liczyła lat siedemnaście a ja dwadzieścia trzy — gdy w cieńu naszego ulubionego drzewa, naszego kasztanu dzikiego, marzyliśmy o przyszłym szczęściu i zbawieniu!... Tak, tak — teraz dopiero — poczniemy się kochać na nowo — kochać prawdziwie...

Albin nic więcej nie mówił, schylił głowę i usnął.